



## Mirosław Derecki (M.D.)

### EKRAN I WIDZ: ZŁOTY EDDIE

Eddie Murphy jeszcze raz udowadnia naszemu coraz bardziej zbiurokratyzowanemu światu, że Sztuka nie wynika z „papierka”, lecz z talentu. Albo się ma coś do powiedzenia w dziedzinie literatury, malarstwa, muzyki, teatru lub kina, albo się nie ma, i wówczas żadne dyplomy nie pomogą.

Eddie urodził się przed dwudziestu siedmiu laty w czarnym nowojorskim Harlemie i wszystko wskazywało, że powiększy szeregi miejscowych czarnoskórych wyrostków, wegetujących z dnia na dzień na pograniczu przestępczości, albo też wybierze drogę cnoty, co zapewni mu znojny kawałek chleba przez całe życie. Choć można też podobno z pucybuta zostać milionerem. Eddie jednak miał talent, osobowość i kochał scenę.

Zwrócił na siebie uwagę już w dzieciństwie, jako czarny malec obdarzony niezwykle *vis comica*. A także bujną wyobraźnią i nieprawdopodobnie wyostrzonym zmysłem obserwatorskim, dzięki czemu objawił się także, jako autor wykonywanych przez siebie scenek komicznych i satyrycznych skeczy. Od piętnastego roku życia występował już na estradzie, uznany przez kolegów za profesjonalistę, i nikomu nie przeszkadzało, że ledwie przełaził przez szkołę podstawową.

Wkrótce trafił do telewizji, polecony przez właściciela klubu „The Comic Strip” na Manhattanie realizatorom programu „Saturday Night Live”. I właśnie wówczas rozpoczęła się jego zaskakująca szybka kariera. Stał się ulubieńcom telewizyjnej publiczności. Reprezentował typ żywego jak srebro, inteligentnego choć niezbyt wykształconego, murzyńskiego „gawrosza” z dzielnic nędzy, przebijającego się przez życie z humorem, aczkolwiek - gdy nie ma innego wyjścia - torującego sobie drogę pięścią. Jego budzące radość widowni „odzywki”, „grepsy”, sposób reagowania na to, co się dzieje wokół, były odzwierciedleniem tego, czym żyje i w jaki sposób się zachowuje peryferyjna amerykańska ulica.

Dobiegając dwudziestki, miał już Eddie Murphy za sobą trzy nominacje do niezwykle wysoko liczącej się w Stanach Zjednoczonych telewizyjnej nagrody „Emmy”, (która jest swoistym odpowiednikiem filmowego „Oscara”): dwukrotnie, jako wykonawca, raz, jako

„tekściarz” programów rozrywkowych. Był nie tylko aktorem, ale także piosenkarzem. W przyszłości ten kolejny jego talent miał zaowocować „złotymi płytami”. Jedną z nich otrzymała w 1984 r. nagrodę „Emmy”. Nosila prosty, ale wszystko mówiący tytuł - „Eddie Murphy: Comedian”.

Niezwykły komediowy talent młodego nowojorczyka sprawdził się także w kinie. I w tym względzie każdy kolejny rok przynosił coraz większe rewelacje.

W 1982 r. Eddie Murphy debiutuje w filmie „48 Hrs.” Jest dobry, ale przede wszystkim zauważa się na ekranie uznaną gwiazdę - znakomitego Nicka Nolte'a. Lecz już w rok później w filmie Johna Landisa „Nieoczekiwana zmiana miejsc” (idącym do tej jeszcze pory także na naszych ekranach), tworząc postać czarnoskórego biedaka-cwaniaka, obdarzonego nieprawdopodobnym zmysłem organizacyjno-handlowym, dystansuje bez reszty sławnego Dana Aykroy'da (pamiętnego bohatera filmów „Blues Barthes” i „1941”). Właśnie za tę rolę - Billy'ego Ran Valentine'a, „żebraka” przemienionego nagle, jak u Marka Twaine'a w opływającego w dostatki „królewicza” - otrzymał Murphy nominację do „Złotego Globu”, równej prawie „Oscarowi” nagrody nowojorskich krytyków filmowych.

W 1984 r. wchodzi na ekrany, dwa kolejne filmy z udziałem Ediego: „Best Defense” (gdzie gra on rolę epizodyczną) i „Gliniarz z Beverly Hills” - gdzie kreuje tytułową postać murzyńskiego policjanta z Detroit, który przybywszy na urlop do bogatego, pewnego siebie Los Angeles, z właściwym sobie wdziękiem i przedsiębiorczością rozwiązuje skomplikowaną aferę kryminalną, z jaką nie potrafiła sobie dać rady tamtejsza policja.

Kręcąc „Gliniarza z Beverly Hills”, ową sensacyjno-kryminalną komedię w reżyserii młodego amerykańskiego reżysera Martina Bresta, liczył sobie Eddie Murphy tylko dwadzieścia trzy lata! Warto zwrócić na to uwagę, bo zazwyczaj jest to wiek, w którym młodzi ludzie, zafascynowani teatrem lub kinem, dopiero opuszczają mury szkół dramatycznych, mając przyswojone zaledwie abecadło wiedzy i umiejętności aktorskich. Tymczasem młody „natuszczyk” Eddie znakomicie udźwignął niesłychanie trudną rolę sensacyjno-komediową (a więc taką, gdzie trzeba i wywoływać co chwilę śmiech, i być zarazem budzącym podziw, pełnokrwistym mężczyzną, aktorem dramatycznym, kaskaderem, strzelcem wyborowym itp., itp.). Właśnie ta brawurowo zagrana rola zwyczajnego, skromnego policjanta, Axela Foley'a, zyskała dla jej wykonawcy światowy rozgłos, sprawiła, że „Gliniarz” przyniósł kolosalne zyski, co zresztą było konsekwencją nieprawdopodobnej „frekwencyjności”. Film trafił w 1984 r. do tzw. „Złotej Dziesiątki” najbardziej kasowych dzieł ekranu.

Jeden z amerykańskich krytyków, Richard Combs, oceniając „Gliniarza z Beverly Hills”, zwrócił uwagę, że w tej „dobrotliwej komedii” Eddie Murphy, budując postać swego

bohatera, „zamierzył coś więcej niż dobroćliwość - coś w rodzaju dopingującej dobroci. I to jest wartość, która przepelnia cały film”. Wydaje się, że krytyk trafił tu w samo sedno sprawy. Eddie w tworzonych przez siebie postaciach, w kolejnych swoich filmach, jest nie tylko błyskotliwym czarnoskórym, budzącym niezwykłą sympatię „gawroszem”. Jest nie tylko komikiem „dobrotliwym”. Ale przede wszystkim emanuje z niego dobroć. Serdeczny, przyjazny stosunek do świata i ludzi, pomimo całego zła, gwałtu i przemocy, jakie w świecie panują. Oglądając filmy z udziałem Eddiego odprężamy się wewnętrznie. Odzyskujemy - choćby na dwie tylko godziny projekcji, (ale i to dobre!) - wiarę w ludzi. I chyba właśnie za to tak lubimy Eddiego.

Na polskich ekranach idzie właśnie kolejny film Eddie Murphy'ego - „Złote dziecko” Michaela Rodhie. Sympatycznemu „gliniarzowi” partneruje tu urocza Charlotte Lewis, kreująca postać tajemniczej Tybetanki, która wprowadza Eddiego w świat legend i wierzeń, zrodzonych na „dachu świata”. A także - do klasztoru, skąd porwano obdarzone niezwykłą mocą „Złote Dziecko”, będące samą dobrocią, która ma oczyścić świat z władzy Zła. A dokąd dziecko zostało porwane? Oczywiście - do jaskini zła, Los Angeles! I Eddie jest jedynym Wybranym, który będzie zdolny „Złote Dziecko” i zarazem nas wszystkich - ocalić...

To może nie najlepszy film Murphy'ego, lecz podobnie jak inne jego filmy, wart obejrzenia. Choć z o wiele większym zainteresowaniem czekam na „Beverly Hills II” w którym partnerką Eddiego jest była żona Sylwestra Stallone, długonoga i jasnowłosa ex-modelka, Brigitte Nielsen.

Pierwodruk: „Kamena”, 1988, nr 15, s. 11.